

Fundamentalizm jest w nas

MAX CEGIELSKI

Obcy jest w nas, obcy w nas samych zagraża ustalonemu porządkowi społecznemu, moralnemu, kulturowemu i symbolicznemu. Normy wyznaczają najsilniejsi, a więc bogaci mężczyźni świata zachodniego: heteroseksualni, rasy białej, chrześcijanie. Bojąc się mrocznej części samych siebie, jak należałoby zapewne powiedzieć w ujęciu psychologicznym, usiłują bronić swojego zdrowego trzonu przed jakąkolwiek innością. Najlepszą formą obrony i w ogóle życia jest oczywiście atak, stąd konieczność ciągłego przypominania o wrogu. Budując opozycję, dzieląc świat i ludzi na swoich i obcych tworzymy matrycę niezbędną do funkcjonowania. W każdej epoce, kiedy ekspansja handlowa i szeroko pojęty „rozwój” zmuszają Zachód do zetknięcia z kolejnymi formami obcości, różni wrogowie wysuwają się na plan pierwszy, stają w pierwszym szeregu. Ciągłe kto inny staje się oficjalnie „naznaczonym”. Zewnętrzny Inny zawsze odpowiada jakiemuś wewnętrznemu pierwiastkowi ukrytemu w „naznaczającym”. Obcy odpowiada jakiejś części osobowości, którą należy kontrolować i unicestwić.

Jak przypomina urugwajski dziennikarz i pisarz Eduardo Galeano w tekście „*Imiona diabła*”, szatan był już rozpoznawany przez zachodnią kulturę pod różnymi postaciami. Często system walczy ze wszystkimi naraz, czasami jeden z diabłów staje się ważniejszy, w różnych regionach zło bywa różnie definiowane. Na początku były właściwie kobiety, nawet te białe, nawet te, z którymi biali mężczyźni dzielili życie. Tego obcego nie sposób było nie oswoić choć trochę, ze względu na jego permanentną bliskość. Podejrzewanie kobiet o spiski ze złem regularnie jednak powraca np. w fobii na punkcie feminizmu. Być może dlatego, że ruchy kobiece często postulują nie tylko akceptację związków damsko-damskich, ale też męsko-męskich. A homoseksualizm, ukryty w każdym z białych i pozornie heteroseksualnych mężczyzn, budzi zawsze największe obawy. Bo wróg bywa tu trudny do uchwycenia, im bardziej biali chrześcijanie usiłują go wypłenić zakładając mundury i zwierając szeregi podczas musztry, tym bardziej staje się widoczny. Kobiety lub kobiecość ukryta w mężczyźnie to mimo „rozwoju ludzkości” ciągle używane „*Imiona diabła*”.

Ekspansja kolonialna, szukanie nowych przestrzeni życiowych dla białych mężczyzn ciągle zmuszało do spotkań z Innymi. „*Konkwistadorzy odkryli, że Szatan, wypędzony z Europy, znalazł schronienie w Ameryce. (...) Konkwistadorzy wywiązali się ze swojego zadania – zwrócili Bogu złoto, srebro i liczne bogactwa, które przywłaszczył sobie Diabeł*” pisze Galeano.² Podobnym diabłem jak Indianie stali się czarnoskórzy mieszkańcy Afryki. Na tej samej zasadzie skonstruowany jest Diabeł jako cudzoziemiec. Jakkolwiek jest, niezależnie od koloru skóry. Tym straszniejszy od Indian i Afrykańczyków przed wiekami, że przybywa do nas, do czystej Europy, z której wydawało się inność została już przegnana wodą święconą i karabinami. Każdy

cudzoziemiec jest więc diabłem, podobnie jak każdy biedak, tym bardziej że te pojęcia często się pokrywają. W procesie naznaczania, stygmatyzowania i wykluczania nakładają się różne paradygmaty. Wróg wyznaczany jest na podstawie kryteriów klasowych, rasowych, seksualnych i religijnych. Poszczególne plany i „wady” Innego nakładają się na siebie i wzajemnie wzmacniają. Nic więc dziwnego, że od samego zarania kultury Zachodu dwie kategorie były szczególnie wyraziste i mocne: Żydzi i Muzułmanie. „*Kolosalna rzeź zorganizowana przez Hitlera była punktem kulminacyjnym prześladowań i poniżeń. Polowanie na Żydów zawsze było sportem europejskim*” – przypomina Galeano w „*Le Monde Diplomatique*”. Wypędzani z kolejnych gett w Europie mogli jednak zawsze liczyć na schronienie w państwach muzułmańskich. Tak z otwartymi ramionami witano ich np. w Imperium Osmańskim. Nic więc dziwnego, że Żydzi i Muzułmanie tworzyli właściwie jedną, najbardziej straszliwą kategorię obcości. Zapewne dlatego, że w przeciwieństwie do Indian czy Afrykańczyków byli tuż obok. W samej Europie lub u jej granic.

Nie można było potraktować ich od razu z wyższością, jak prymitywne kultury z Ameryki czy Afryki. Ci obcy byli bowiem właściwie tacy sami i to budziło największe przerażenie. Monoteiści, ludy księgi, wszyscy czerpiący z tych samych prorocत्व, z tych samych ksiąg. Zagrożenie dla chrześcijan tym większe, że taki np. Mahomet, którego Dante od razu umieścił w najgorszych kręgach piekielnych, twierdził, że kontynuuje i wręcz „naprawia” przesłanie Jezusa Chrystusa. Problem z Żydami i Muzułmanami polegał też na tym, że aż do XVII-XVIII wieku ich światy były dużo bogatsze od naszego. Szczególnie ci ostatni kłuli w oczy swoim poziomem kultury, księgami, miastami, pałacami, klejnotami i ozdobami. Inny musiał być przecież z założenia gorszy od nas – Europejczyków: biedniejszy

i bardziej prymitywny. Dlatego islamofobia zrodzona przed wiekami zawsze mieszała się z fascynacją, była tworem płynnym i skomplikowanym. Orientalizm – konstrukcja opisana przez Edwarda Saïda – nie był tylko rasizmem. Był także naukową kontrolą obcego poprzez odbieranie mu głosu i decydowanie o tym, kim jest. Narzucanie pojęć i tematów dyskursu jest często bardziej dotkliwą formą przemocy niż agresja fizyczna.

Dopiero XIX w. ułatwił nam budowanie konstrukcji symbolicznej obcego – Muzułmanina. Ekspansja kolonialna, wewnętrzne problemy i stagnacja w świecie islamu wreszcie pozwoliły odpowiednio ustawić pojęcia. Muzułmanin w końcu stał się biednym emigrantem i łatwiej było nim pogardzić. Jako wróg unieszkodliwiony przestał jednak też pobudzać wyobraźnię. Islamofobia tłąca się w każdym z białych, heteroseksualnych, bogatych chrześcijańskich mężczyzn wybuchła na nowo najpierw w 1979 roku, kiedy nieoczekiwanie obcy Muzułmanin, a w dodatku szyita przejął władzę w roponośnym Iranie. Szyita, czyli obcy w obcym, mniejszość w mniejszości, wykluczony w tłumie wykluczonych, nowy parias świata pod postacią Chomeiniego obudził zachodnich islamofobów. A 11 września 2001 okazało się, że przeciwko obcemu ze świata islamu trzeba wystawić armie.

Oczywiście fiasko tzw. „*wojny z terroryzmem*” polega na tym, że „*obcy jest w nas*”, jak by ujęli to psychoanalizy czy po prostu psycholodzy. Podobieństwa pomiędzy ludźmi pokroju prezydenta USA a samozwańczego przywódcy skrajnych islamistów – **Osamy Bin Ladena** są przecież ogromne. Pierwsza iskra do nowej krucjaty pojawiła się w środowiskach amerykańskich konserwatystów, z których część przynajmniej sympatyzuje lub wręcz wywodzi się ze świata religijnego fundamentalizmu, tyle że chrześcijańskiego. Jeśli chodzi o stosunek do kobiet, homoseksualistów, rozwodów, aborcji, stworzenia świata – dwa wrogie obozy łączy wiele. Panowie w krawatach mogliby podać sobie ręce z panami w dżelabijach i turbanach. Obcość jest tu tym bardziej przerażająca, że taka sama. A więc najbardziej niebezpieczna. Nic też dziwnego, że głosy islamofobiczne słyszymy przede wszystkim pośród najbardziej zachowawczych grup w Europie i USA. Nic dziwnego, że ruchy lewicowe musiały wspierać (jakkolwiek dziwnie to czasem wygląda) muzułmański radykalizm. Zresztą także pod jego wpływem „nowa lewica” zaczęła na nowo interesować się religią, próbując inkorporować jej elementy do własnej doktryny.

Koncepcja zderzenia cywilizacji mówiąca o nieuniknionym konflikcie islamu i chrześcijaństwa jest fałszywa. Konflikt przebiega między świeckością a religijnością, a nie między religiami. Te mają zbyt dużo wspólnego, co było też widać na różnych światowych konferen-

cyjach, gdzie duchowni islamscy i chrześcijańscy razem protestowali przeciwko antykoncepcji i innym „zбочeniom”. Islamski radykalizm ujawnia jednak prawdziwą twarz jakiegokolwiek fundamentalizmu religijnego (także żydowskiego i hinduistycznego). Dążąc do całkowitej kontroli nad życiem człowieka przypomina protestanckim czy katolickim sektom (w tym polskiemu Kościołowi) o ich zapomnianych marzeniach. O planach przymusowego zbawienia świata, które trzeba było zarzucić pod wpływem świeckiego hedonizmu i oświeceniowego paradygmatu tkwiącego gdzieś u jego podłoża. Muzułmański fundamentalizm pokazał przede wszystkim, jak słabe dziś społecznie jest chrześcijaństwo. Bardziej nawet w Europie niż w USA.

Poza tym emigranci z Maghrebu, Turcji i subkontynentu indyjskiego przypomnieli nagle Europie o nieuniknionej statystyce, o demografii: o rozrodczości. Rasistowska paranoja na ich punkcie jest tym silniejsza, że prawa ekonomii, naszej współczesnej religii panującej, są nieubłagane. Brakuje rąk do pracy, nie ma kto płacić podatków, nie ma kto utrzymywać naszych (białych) emerytów. Jesteśmy więc zależni od Innego, od obcego. A to też trudno zaakceptować, ponieważ czujemy, że obcy zaczyna być nieodzowny. To budzi chyba największy strach: emigranci ukazałi nam brutalnie nasze słabości, niedoskonałości naszego systemu. Nie możemy się ich właściwie pozbyć, możemy tylko dokonywać drobnych korekt w relacjach z Innymi. Otwierać bramy przed mniej obcymi: dopuścić do Unii Europejskiej dziwnych Polaków i nawet jeszcze dziwniejszych Rumunów i Bułgarów. Byle-

by móc twierdzić, że nie musimy przyjmować Muzułmanów. Publicyści tacy jak **Daniel Pipes** chcą już nawet zapraszać katolików z Ameryki Łacińskiej. Nie przejmują się, że ich chrześcijaństwo podszycie jest kultami afrykańskimi i indiańskimi. Nawet ukryty politeista (czy wręcz poga nin) jest lepszy od Muzułmanna. Bo wyznawca islamu – monoteista, człowiek księgi, uznający posłannictwo Abrahama i Jezusa Chrystusa – jest obcym bliskim. Bardziej realnym, bardziej obcym przez cechy wspólne.

Pipes twierdzi zresztą, że islamofobia jest wymysłem, dziennikarz powołuje się na dane statystyczne, z których wynika, że po 11 września 2001 nie zwiększyła się wcale liczba ataków, aktów przemocy wobec Muzułmanów. Nawet jeśli tak jest, problem leży w przemocy symbolicznej, w tym jak wygląda zachodni dyskurs o islamie. Paradygmat kulturowy, wizja „zderzeń cywilizacji” stała się jedynym kluczem do opisu świata obowiązującym w mediach. Tylko lewicowi intelektualiści nie śmiało przypominają, że świat dzieli się także na biednych i bogatych. Dlaczego mówimy, że muzułmańska młodzież z przedmieść francuskich podpała samochody, a nie, że robi to młodzież bez pracy, wykształcenia i perspektyw na przyszłość? Konserwatyści odpowiedzialiby, że to islamska umysłowość zamyka ich horyzonty i uniemożliwia zrobienie kariery. Czy wobec tego polskim blokerom awans społeczny uniemożliwia ksenofobiczny katolicyzm? Albo inaczej, jeśli stosujemy paradygmat kulturowo-religijny, to dlaczego nie jesteśmy konsekwentni? Jeśli o Kurdach w Niemczech mówimy, że ich aran-

żowane małżeństwa i „*honorowe morderstwa*” to wina islamskiej tradycji (to zresztą nieprawda), to dlaczego o panu Kowalskim, który zgwałcił córkę nie mówimy: katolik katem!? Dlaczego polski alkoholizm, kazirodztwo, bicie żon i dzieci to wina biedy, a te same czyny popełnione w gettach pod Hamburgiem to wina islamu? A swoją drogą, dlaczego nie przyznamy w końcu, że terrorystami, katami i mordercami są mężczyźni? Może to płęć jest winna złu?

Warto jednak przyrzeć się jednemu z elementów doktryny głoszonej przez Daniela Pipesa i jemu podobnych. Konserwatyści twierdzą bowiem, że zarzut islamofobii używany jest też po to, by jakąkolwiek krytykę islamu uciszyć. W imię złe pojętej politycznej poprawności i popowego multikulturalizmu (o którym jeszcze za chwilę) nie można powiedzieć złego słowa o praktykach Muzułmanów. Jeśli antyrasizm, antyislamofobia staje się zimną ideologią, jedynym punktem odniesienia – udajemy, że nie ma o czym dyskutować. Chowamy problemy pod dywanem, zamiatamy je w daleki kąć.

A przecież nie ma się co oszukiwać. Niektóre interpretacje Koranu, niektóre interpretacje prawne uczonych muzułmańskich (fatwy) są trudne do pogodzenia z naszym, zachodnim stylem życia i filozofią. Udawać, że tak nie jest – to właśnie popmultikulturalizm. Udawanie, że obcy jest taki sam, jak my. Akceptowanie zewnętrznych elementów inności, dopóki nie są niczym więcej niż etnograficzną ciekawostką, barwną szczyptą egzotyki. Akceptowanie Innego czy wręcz owo dwuznaczne „*tolerowanie*” (podejrzane, bo dokonuje się z pozy-

cji wyższości), dopóki obcość możemy bezboleśnie skonsu mować w ramach globalnej wioski rozrywki.

Do rozmowy o obcych, o islamie, o islamofobii najbardziej przydatny jest, jak się wydaje, klucz czerpiący z psychologicznego ujęcia, od którego zacząłem ten tekst. Charakterystyczne są koncepcje dwójki intelektualistów, postaci, które wyrastają z tradycji psychoanalizy: Slavoj Žižka i pochodzącej z Bułgarii francuskiej intelektualistki Julii Kristevej. Słoweński filozof – najwybitniejszy komentator myśli francuskiego psychoanalityka Jacques'a Lacana, w książce „*Rewolucja u bram*” zajmuje się nie tylko leninizmem, lecz także problemami wielokulturalizmu. Pisze między innymi: „*Tolerancja jest tolerancją wobec Innego o tyle, o ile ów Inny nie jest »nietolerancyjnym fundamentalistą« – co oznacza: o tyle, o ile nie jest realnym Innym*”. Co więc robić? Odpowiedź na to pytanie można odnaleźć w książce Tomka Kitlińskiego pod znamienym tytułem „*Obcy jest w nas*”. Autor przytacza tam opinię Julii Kristevej, swojej bohaterki: „*Współczesne państwo nie powinno integrować imigrantów, lecz respektować ich prawo do wyboru obcości. Imigranci zaś winni szanować obcość gospodarzy*”. Žižek i Kristeva wiedzą, co mówią: sami są obcymi w zachodniej Europie. Być może dlatego właśnie zauważają i postulują, że rozmowa o obcości musi zaczynać się od uznania inności Innego. Potem dopiero można szukać elementów wspólnych i płaszczyzn porozumienia.

¹ „*Le Monde Diplomatique*”, edycja polska, marzec 2006.

² j.w. ◆